

# DZIENNIK MÓD PARYSKICH

Lwów, 20 kwietnia 1844.

Rok piąty.

Wychodzi co druga sobota regularnie; do każdego numeru dołączona jest rycina mód paryskich z dokładnym opisem. Kosztuje w miejscu półrocznie 5 zlr. 15 kr.; całorocznie 10 zlr. m. k.; na prowincji dolicza się przesyłka pocztowa do cen powyższych półrocznie 48 kr. m. k. Prenumerować można we wszystkich urzędach pocztowych, tudzież w redakcji pod nrem 301.; we Lwowie.

## M O D Y.

Paryż, dnia 7 kwietnia 1844.

**Stroje damskie.** Według przyjętego zwyczaju nie jest to tak łatwo zaglądnąć do pracowniów, gdzie się tegoroczne wiosenne wyrabiają nowości; wszystko w tem względzie pokryte jest tajemnicą wernie utrzymywaną przez wszystkie modystki, a nawet, co zli ludzie gotowi okrzyczyć niesłychanym, niewidzianym i niepodobnym, tysiące osób płci pięknej pracuje nad niemi, a tajemnica nowych utworów tak dobrze zachowana, że trzeba poprzestać na tym, by się te nowości jedna po drugiej zdumionym i ciekawym okazywały oczom. Z tych tedy pojawień tu i owdzie zajrzanych, to tylko z pewnością powiedzieć możemy, że nowy krój sukien ze stanikiem z przodu otwartym zabiera miejsce redyngocików; takie bowiem staniki łączą bez wątpienia wytworność najwykwintniejszą, z najwymyślniejszym Konfortablem. Wszystkie zalety dawnych redyngocików, w wyższym nawet stopniu posiada suknia ze stanikiem otwartym, czyli ten będzie jednostajny, czy sznurowany, lub też z wyłogami; jednym słowem suknia ze stanikiem (Leczińska) dogadza wszystkim wymaganiom, gdy tymczasem redyngocik po prawdzie był tylko mieszaninką, utworem składanym, ale nie pewnym oznaczonym rodzajem.

Co się tyczy rękawów podobnym jest do prawdy, że się utrzymają, w zimie jeszcze przyjęte rękawy dobrej siostry i Letoret (te są w guście czasów Ludwika XIV); rękawy skruczone, szerokie z wielkimi obszyciami, do których dodane podrękawki różnorodnym przystrojeniem swoim niemało zwiększają kroju tego wytworność, czyli to zasłaniają rękę mgłą tiulową, czyli też odkrywają rękę okrągłą i utoczoną aby lepiej białość jej cudowna odbijała od mitenek

z mory lub axamitu spiętych czterma lub pięcią guziczkami.

Dotąd najwytworniejsze są stroje koncertowe, z pomiędzy których zachwycaly wszystkich dwa głównie stroje; nie potrzebuje dodawać, że ich pełna wdzięku i szlachetności wytworność dowodzi iż są z pracowni *Ferieres-Panona*. Jedna z nich pokryta podwójną tuniką z haftowanego tiulu, otwarta z przodu, a strój na w okalającą girlandę z różyczek o srebrnych listkach; stanik wygorsowany ostro wycięty z podwójną peleryną w kształcie berty obszytej girlandą podobną do tej na spodnicy. Druga suknia otwarta z przodu, na spodniej z atlasu niebieskiego, obszyta korunkami alezońskimi spadającymi w kształcie fartuszka na spód niebieski; stanik gładki wygorsowany z bertą alezońską; od rękawów zaś aż do spodu spadają dwie korunkowe listwy stroje w pięć róż z atlasowych wstążek niebieskich.

Rycina przedstawia: szlafroczek z wełnianej materii w przodzie ukosem ozdobiony i sznurkami jedwabnymi sznurowany. Stanik i rękawy gładkie podobnie sznurowane. Kapelusz jedwabny rajskimi ptakami ozdobiony. Druga suknia z *gros d Afrik*, w przodzie korunkami ubrana, stanik gładki z bertą, ubiorem na głowie ze srebrną korunką. Trzecia figura, suknia z tarlatanu zarzucanego z trzema ukosami pasamonicką robotą obszyty stanik marszczony, w sposobie greckim ubiorem na głowie.

**Stroje męskie.** Co się tyczy sukien męskich, nie wiele jest odmian nowych, a i te mało jeszcze znane w tym czasie tajemniczym, który poprzedza *Lonychamps*. Zdaje się jednakże że wierzchnie suknie, będą miały stany szerokie, a krótkie poły, będą za tym podobne do paletotów. W surdutach, klapy będą się więcej zapinać, a kołnierze bardzo szerokie. Ogólnie powiedziawszy stany sukien męskich po znacz-

niejszych pracowniach zbliżają się do kroju angielskiego głównie co się tyczy pleców, prawidło zaś angielskie, nie tyle dba o to by stan był wcięty, jak raczej, by był wygodny.

Z nowości najwięcej poszukiwanych na męskie stroje, jest *Chino-corse*; na kamizelki zaś wybieramy z pomiędzy wielu innych tkaninę jedwabną, pikowaną w małe punkciki, które tworzą rodzaj rysunku różnobarwnego. Piki są zwykle na dnie białym albo cielistym, w kwadraty albo kółka z barw jaskrawych, najczęściej żółtych, niebieskich albo różowych.

Figura męska przedstawia: tużurek i frak do przechadzki.

## STŁUCZONE OKNO,

powieść

JÓZEFA DZIERZKOWSKIEGO.

III.

### W KOŚCIELE.

Było wielki piątek; mgła kwietniowa zawisła nad miastem jak olbrzymia chmura tylo wiekowej żałoby smutkiem i pobożnością obchodzonej; żaden głos dzwonu nie śmiał swym dźwiękiem przerywać ciszy i milczenia jakie zaległo wszystkie świątynie napełnione ludem: szczere i pobożne rozpamiętywanie nad wielką ofiarą Zbawiciela za grzechy człowiecze nie potrzebuje głosu by było zrozumiane. W jednym z kościołów oparty o filar wiekiem zaciemniony stał kołniercem przykryty stół; przed nim w pobożnym zręczeniu się pychy światowej zasiadła pani w żałobne szaty przebrana, i pobożne zbiera jałmużny na wielką srebrną tacę. Z cienia filarów, sukien żałobnych, i ciemności kościelnych występuje jej twarz tak blada i nieruchoma, iż wydaje się jakby zawieszona na ciemnym tle, albo wystająca z jakiej staroświeckiej rzeźby. Czasem tylko gdy powiewem poruszone światło stojącej na stoliku świecy chwilową łyskawicą przemknie przez twarz, okażą się rysy odznaczone życiem, ale życiem tak dawnym zamartym i niemym, iż nie jednemu przechodniowi wydać się, musiała jak twarz grobowego posąga. Czy modli się czy marzy, czy drzymie, ledwie odgadniesz, bo jej postawa na poły zamyślona z oczami nieruchomie w pobożną książkę spuszczone, wszystkie te trzy nosi na sobie cechy. Obojętny, pobożny, lub ciekawy nowych widowisk, z jakich składają się po większej części przesuwające się tłumy nie innego nie dostrzeże w twarzy pani hrabiny; ale ktoby ją znał, bliżej, widział

wezoraj, pozawezoraj w jednym z najświetniejszych stolicy salonów, na którego jest czele, zadziwiłby się, jak się tak prędko zmienić mogła kobieta, która nie mogąc przez wiek straconej odzyskać już twarzy nadgradzała stratę niepowetowaną strojem, rozmową, dowcipem, i ułożeniem tak wytwornym, iż ją nieraz zdybywały hołdy szersze może nad dawniejsze sztambuchowym już tylko życiem żyjąca. Nieraz w salonie najprzystojniejsi i najmłodszy mód królowie opuszczali młodsze i ładniejsze kobiety, by ją tylko słuchać i podziwiać; w jej przytomności brzydły wszystkie piękności jakby zamówione jej czarującą rozmową; zazdrość i opuszczenie dodawały im lat, których zdawało się hrabinie ubywać w tym świetnym otoczeniu, rozpromienionej fajerwerkami, dowcipnej żywej, i niewyczerpanej pogadanki. Jakże różna dzisiaj; nie samej to pobożności przelotny zwykle odcisk wkopał w jej twarz ten wyraz głębszego zadumania, którego nie może się pozbyć ani pacierzem, ani westchnieniami, ani spojrzeciami lęklivymi prawie jakie rzucha na obraz ukrzyżowanego zbawiciela. Jeżeli to skrucha!... to nie bez wielkiej przyczyny; jeżeli już pokuta!... to zasłużona być musi; jeżeli cierpienie!... popatrz niewiasto na ten boski wyraz na twarzy zbawiciela cierpienia bez winy!... O! inne być musi, ziemskim błotem pokalane to cierpienie, które zdarło z jej twarzy wszelki urok udany!... Maski salonowej pozabawiona zbrzydła, zestarzała do niepoznania prawie. Podniosła oczy... kilka bowiem wytworniejszym strojem odznaczonych przemknęło postaci; kurcz natężenia przebiegł przez twarz, ale nadaremnie; miał to być uśmiech dawny, wesoły, salonowy; był tylko skrzywieniem bólu wewnętrznego. Zabrzmiała muzyka cichymi i żałobnymi tony, jakby łkania przytłumione, i zamilkła w jednym prawie westchnieniu wyrzuconym z piersi całego ludu. I hrabina westchnęła, rzuciła oczy z całym natężeniem salonowej wiary swojej ku twarzy zbawiciela — nadaremnie!... cały lud widział, w tym boskim wyrazie twarzy politowanie i przebaczenie; ona dostrzegła tylko zimny i niemy marmur... Coraz ciemniej w kościele; już wieczór; coraz mniej pobożnych; rzadko już przedłużony cień jaki przemknie po filarze, kołniercu, i bladej twarzy, tak niewyraźny i fantastyczny, jak jej ciemne myśli, które ciągle bez końca przesuwają się po jej głowie niedopyrzem skrzydłem pamiętek. W długich przestankach odzywa się muzyka kościelna, to jak błaganie, to znowu jak nadzieja; szept pacierza cichy, westchnienie czasem urwane; i znowu cicho jakby cały kościół stał się grobem. Upadła twarz blada na piersi; czy modli się, czy marzy, czy drzymie...

Raptem zadzrała; nowa cień przesunęła się przez jej twarz... i z czystym dźwiękiem padł dukat na srebrną tacę... Spojrzała salonowa dama, na przeciw niej stał hrabia z blizną nad lewym okiem, bladą i niemą twarzą. Jeszcze mocniej zadzrała. Zdybały się ich spojrzenia, i na ich twarzy zgniła i chorowitą bladością spokrewnione wystąpił wyraz podobny wczorajszemu z okien rynkowych. Że się znali, i dobrze znali, wątpić niepodobna; własne ich spojrzenia zdradzają: ale bez przywitania, stali długą chwilę na przeciw siebie, a patrzyli w swe twarze, jakby z nich dawnej przeszłości chcieli wyczytać dzieje. Długie było milczenie; zwrócili się oboje ku światłu buchającym z pobocznej kaplicy, jakby się pomodlić chcieli, ale dla czego ich twarze pozostały tak nieme zimne i nieruchome?... dla czego oczy ich tak przeraźliwie wyszczerzone w jedno miejsce?... Oni zamazali zapewne!...

Dawno już temu!... Było jak dziś dzień kwietniowy, ale pełen woni, światła, ciepła; pierwszym wiosny oddechem obwiane, wśród listków zielonych, pączków wpół rozwitych zjawilo się świetne i strojne grono dam w Saskim ogrodzie. Cała Warszawa wyległa oddychać powietrzem, które wszystkich zdawało się ożywiać nadzieją dni pięknych; cały ogród był żywą wystawą strojów, kwiatów i wdzięków, w której natura walczyła ze sztuką o pierwszeństwo, ale najpiękniejsze jakby klomb żywy wdziękiem i świeżością przechadzało się grono pań wielkoświatowych, a z pośród nich najurodziwsza jak królowa kwiatów wyglądała sławna pięknoscią, wychowaniem i rodem hrabianka Malwina. Szybkim krokiem zbliżał się do tego grona młodzieniec w świetnym ullańskim stroju, skończony bohater, czy na woskowanej posadźce, czy na miękkim dywanie buduarowym, czy na chrapowatym biwakowym postaniu. Tylko co gońcem przyłeciał od wojska; całe miasto witało jego mundur, jego depesze, i zgrabne ułożenie. Hrabia Alfred przywitał znajome sobie panie, a zdumionym okiem spoczął na pięknej Malwinie; w nadsekwąńskiej stolicy, którą niedawno porzucił, nie zdybał podobnej piękności; i słowa nie mógł znaleźć by przywitać od lat dziecinnych niewidzianę jeszcze, a bliskę krewnę swoją. Znikł w uroczym klombie, który w różnych wdzięcznych przemianach przewijał się w około dwojga krewniaków rozmawiających poufale i wesoło o przeskakanej razem dziecinniej przeszłości; ona z marzeniem o zabawach stołecznych, on z marzeniem o sławie. Hrabia Alfred zabawił dni kilkanaście pod pozorem udanej słabości; wśród zabaw, muzyki, tańców, i przechadzek, czy wśród ludzi, czy w sa-

motności nieodstępny był towarzyszem pięknej hrabianki. Przemknęły ręczo różnobarwne te chwile, jak rój motyli; i pożegnali się, ze łzą i westchnieniem—ona za sławą! on za zabawami stołecznymi.... Takie było pierwsze ich zdybanie!...

Dawno już temu!... Było dzień zimowy, ale świetniejszy jeszcze wonią, kwiatami, światłem i strojami nad dzień kwietniowy: słońce zastępywały oświecone pająki jak olbrzymie brylanty zawieszzone na środku sali balowej. Syt niewygodnej a niebezpiecznej w owym czasie sławy przemienił hrabia Alfred kurtkę ullańską, na salonowy frak. I zdybali się z radością w oku, z dreszczą w sercu; w zakrętach mazura, szalonych walca zwrotach, przy oknie, przy fortepianie; i zdybywali się wszędzie oko w oko, myśl w myśl, dłoń w dłoń, aż nareszcie w wonnej cichej i miękkiej ustroni buduarowej, przy alabastrowej lampy półświatle, półcieniu, z westchnieniem pół żalu, pół rozkoszy zdybali się usta przy ustach.... Takie było ich zdybanie drugie!...

Dawno już temu!... Była noc ciemna; a ciemniejszy jeszcze pokoiik lichej chaty przedmiejskiej; skąpy kaganek więcej rzucał cienia niżeli światła na gołe brudem tylko pomalowane ściany. Zawyla burza, głośno uderzając w zle przymknięte okienice; głośniejsze jeszcze dały się słyszeć jęki ze środka chaty, to donośniejsze, to więcej przytłumiane.... Tak ciemno było w brudnej izdebce, iż jak cienie tylko przesuwaly się kilka ludzkich postaci... Raptem głośniejszy ozwał się krzyk przeraźliwy, silny wichur zaświstał w szczeliny drzwi strupieszających; kaganek gwałtownie podmuchięty jaśniejsze rzucił pasmo światła na twarze zawsze piękne i młode hrabianki i hrabiego... ale zamiast dawnych tak czułych wyrazów, tam widać tylko cierpienie ciała, a tu cierpienie znudzenia, na obydwóch zaś twarzach wyraz przesyconej obojętności, trącającej prawie o nienawiść, która zastępywała miejsce dawnych uczuć czułych. Kilka słów ozwało się urwanych, przyrzeczenie wiecznej tajemnicy jakże miała pokryć na zawsze te ich zejście się. I zgasło światło, ciemno w chałupie, wiatr świszczę, huczy, i wyje, leci pare powozów ku miastu, i cicho i ciemno!... Takie było ich zdybanie trzecie!...

A teraz ze zmarszczkami na twarzy i wygasłym do reszty uczuciem w sercu zdybali się po raz czwarty; i bodaj czy nie ostatni, jeżeli wierzyć ukradkowym wzrokom jakie rzucają na siebie pełnym pogardy nienawiści i odrazy. Miłość dawna i wzbudzone przez nią uczucia szlachetniejsze wionęły na zawsze. Rozłączeni przez przesyconie i potrzeby małżeństw dla pieniędzy zawartych używali oboje świata przysa-

wszy się jak pijawki do wszystkich życia światowego rozkoszy, a gdy wyszali wszystko, zbrzydła im wyciśnięta skórka cytrynowa. W takim życiu rozdzieleni przestrzenią różnych świata stolic, zapomnieli o sobie, zapomnieli o dawno przebrzmiałych chwilach, a nawet radziby zapewne byli nigdy pamięcią nawet przypadkową nie powracać do tej przeszłości, która swoim wdziękiem świeżością i urokiem wydrzyżnia się im okropnie jak złote użycia grono ustom Tantalą. Chcieliby zapomnieć, a przecież nie mogą zupełnie, bo jest w tej przeszłości w pośród jej barw zartarych już prawie, jeden smug ciemny, jedna plama niezmazana; jak ta plama na bladym czole hrabiego pochodząca z rany odebranej w pojedynku za nadwziętą przez złośliwą obmowę kuzynki sławę odbytych. I nie tej plamy zetrzeć nie może, bo gdy je śmiechem, żartem, pogardą z myśli i serca nawet wypędzili padła ona na ich sumienie, i z tamtąd przez ten ich wzrok niepewnie błędzący w około wyszczerza się widomie, i w tym to wzroku jest prawdziwe podobieństwo ich rodzinne. Zwrócili się znowu ku sobie; pobożność czy marzenie ustąpić musiało zapewne, bo na obie twarze wybiegł uśmiech przymuszony którym chcieli sami w sobie i przed sobą ukryć i pogardę i nienawiść i plamę przyszłości i wewnętrzne cierpienia; uśmiechnęli się, by się oszukać, bo przemówić chcieli do siebie: uśmiechem zimnym i fałszywym, razem, chcieli zgrabnie przeskoczyć z wczoraj do dzisiaj... A w koło nich coraz ciszej i ciemniej, i coraz mniej modlących się, coraz olbrzymiejsze roschodzą się cienie; od czasu tylko do czasu głos muzyki zabrzmiał uroczysty i żałobny, jakby się do grobu dobił głos dalekiej żałośniejszej tęsknoty jakiej.

— Pierwszy zagadł hrabia Alfred głosem suchym i chorowitym, a choć pusto w kościele, zaczął rozmowę po francuzku; bez przywitania poprzedniego, bo i nacoż mają się witać tak dobrze znajomi, i jakież mogło być te ich przywitania: w salonie to co innego, ale w kościele po godzinie rozpamiętywania nad sobą i przeszłością, w obec wizerunku odwiecznej prawdy, to nie podobna. Poznałaś mnie pani od razu!...

Hrabina milczała, ręką tylko przyciskała mocniej nabożną książkę.

— Bo i ja poznałem od razu, poznani podobno oboje...

Popatrzyła hrabina na hrabiego z uwagą podwójną, a zaostrzoną przez mimowolne przelęknienie; to miejsce, ta samotność, ta twarz śmiertelnie prawie blada, zrobiły na niej mocne wrażenie.

— Była to chwila wzajemnego poznania; poznani poznaliśmy hrabino...

— Po tak dawnym widzeniu się robi to zaszczyt pana hrabiego pamięci, odrzekła hrabina z szyderczym przyciskiem.

— Są rzeczy o których mimo najszczerzych chęci zapomnieć niepodobna.

— Mnie się zdaje że nie łatwiejszego jak dawne zapomnieć uczucia.

— Pani hrabina żartuje łaskawie; ja mówię tu o osobach, o twarzach, które mimo wieku i zmienionych usposobień tak się wciskają w pamięć... wciskają w sumienie! ciszej dodał.

— W sumienie?... mnie się zdaje panie hrabio, że pozawczoraj zle spaliśmy oboje; to być musiało przyczyną wrażenia dosyć śmiesznego, za które okno tylko odpowiedziało... i przymuszając się do uśmiechu chciała rozmowę na weselsze sprowadzić pole...

— Ale on żyje!...

— Żyje?... krzyknęła hrabina, i zadrzała aż xiążka padła na ziemię z łoskotem, który długim i posepnym echem rozchodził się po pustych kościoła sklepieniach... Żyje! dodała, jakby przychodząc do siebie: ale w więzieniu...

— A jeżeli więzienie przemówi!...

— Głos więźnia mój panie hrabio na ulicach nienie, salonów naszych nie dosięgnie, ani pokojów sypialnych; możesz więc panie hrabio spać spokojnie, i złowrogimi słowy nie przestraszać kobiety w pośród tylu przedmiotów działających na wyobraźnię. Więzienie panie hrabio to grób prawie!... a grób pokrywa wszystko... nie prawdaż? a gdy to wymówiła, było coś więcej w oczach hrabiny, jak proste przeletne zapytanie...

— Grób! zapewne!... po chwili dodał. Żał mi tego starca, może zostawił dziecko, któremu był potrzebny... coż w takim razie panie hrabino?...

— Co! co! ozwała się hrabina; a jej poruszenie wzrastało w miarę jak się wpatrywała w oczy hrabiego: co rozumiesz hrabio pod tym, wszak mi mówiłeś podobno... to tak dawno, iż nie pamiętam dobrze... że... że zginął... ślad...

— Co mówiłem, to i ja nie pamiętam; to tylko pamiętam dobrze, że przyrzekłem zastosować się do woli pani, ale nie mogłem przenieść na siebie, abym sam...

— Nie sam! przerwała hrabina w zupełnym zapomnieniu przybranej roli: ale ten wierny sługa...

— Mieliśmy panie hrabino obydwaj resztki sumienia.

— Nie żartuj hrabio!... dokończ!... więc... Poj-

rzeli po soeie wzrokiem wymowniejszym nad słowa, to też zrozumieli się doskonale.

— Powiedzieć to pani przyszedłem tutaj, bo tutaj zlituję się może nad nami miłosierniejszy od nas bóg. Zakrył hrabia oczy ręką; hrabina drżała a jej bladeść była coraz okropniejsza: po chwili mileżenia ciągnął hrabia dalej. Przygotować panią na każdy przypadek chciałem, przysięgł mi w prawdzie, ale człowiek który zbrodnią popełnić mógł, czyż dotrzyma przysięgi; może już tajemnica nasza oddana w ręce drugie... wzrok jaki rzucił na nas nie wiele mi obiecuje... czy uważałaś pani ten wzrok. Zamilkli oboje i zamyślane w dół spuścili oczy.

Lekki szmer dał się słyszeć koło nich; z ciężkim dźwiękiem padł prosty grajcar na srebrną tace, aż się zadziwione rozskoczyły dukaty. Za duszę więźnia który pozawczoraj stał pod pręgierzem! ozwał się głos ostry, gruby i szydery; i przestraszonym z kamieniałym prawie salonowców okazała się postać nieznaną im zupełnie naszego Szumiły, który raptem z poza ukrywającego filaru przystąpił ku nim. Trzy wzroki okropne prawdą i przerażeniem spotkały się przez krótką chwilę; spojrzenia hrabiego i hrabiny wnet uciekły przed wzrokiem Szumiły, który z wyszczerzonymi oczyma, wyrazem bezwstydnego zawziętej i chciwej ciekawości spoglądał na nich. Ciężka była to chwila, w czasie której Szumiło oblewał ich strumieniem najzjadliwszych spojrzeń, wciskał się niemi aż w głąb ich myśli, wymawiał, przeklinał i szydził; jak ogniem palącym rzucał w zle zagojoną ranę ich sumienia: salonowe udawanie uległo przed wzrokiem grubiańsko ulicznym, jak sztuka szermiercza fechtmistrza przed krzyżową sztuką nieuka.

A w kościele cicho i ciemno, długie cienie korywych pokryć kościoła, przesuwają się jak duchów cienie; głosy muzyczne jakby głosy życia dochodzą zdala niewyraźne, uroczyste i żałobne: i ozwał się głos smutny śpiewających kapłanów, jakby głos którym grób odpowiada życiu.

Szumiło trzyma ich ciągle pod przemocą spojrzeń zaslepiających natężonym i upartym wpatrywaniem się; drżą jak dzieci, czyli raczej jak winowajcy przed sądem, bo ta plama ich sumienia stanęła przed nimi widomie — i jaka plama!: wszystkie siły umysłowe któremi oboje tak dzielnie umieli władać odstąpiły ich raptem; męci się im w głowie. W tej dopiero chwili, stali się pobożni prawdziwie, bo uwieryli w boską karę.

Szumiło nie ruszał ani kroku; dzięki wychowaniu wysmianemu przez niego pozawczoraj połapał tyle francuszczyzny; że rozumiał całą ich rozmowę, a słu-

chał jej od początku ukryty za filarem, bo od pozawczoraj śledzi on wszystkie ich kroki, skrada się za niemi jak tygrys wietrzący żer dla siebie. Widzi przed sobą tajemnicę, odgaduje ją, wietrzy korzyść, drży z niecierpliwości by ją schwytać, ale sam nie wie jak się wziąć do tego; milczy więc także i w głowie swej przewraca za sposobem jakim by zdołał jak najwięcej wyciągnąć z tej tak szczęśliwej dla niego okoliczności. Gdyby obojętny patrzył z boku na te trzy postacie, mimo całego widocznego rozlanego na nich piętna niezwykłości, niemógł by się zarazem wstrzymać od śmiechu, na widok naszego Szumiły, który w stroju dziwacznie zebranych ze świeżo na tandencie kupionych różnorodnych ubiorów, z całym swoim ułożeniem prostackim i niezgrabnym tak silnie wywiera przewagę nad temi dwoma wyższościami towarzyskimi — prawdziwą przewagę ulicy nad salonem!...

— Kto pan jesteś?... przemówił nareszcie hrabia, widząc nieruchomość Szumiły.

— Kto?... jak echo powtórzyła ciszej hrabina.

— Syn więźnia, który stał na pręgierzu.

— Syn!... krzyknęli oboje.

— Syn!... zaśmiał się do nich Szumiło szydery. Jeszcze jeden wzrok rzucili na niego oboje, w którym ciekawość, przestach i obrzydzenie następowały kolejno; i hrabia uspokojonym nieco głosem dodał. Masz pan mój adres, proszę jutro do siebie...

Nazajutrz wieczorem była taka hulanka w małej kawiarni, jakiej nie pamiętają ani gospodarstwo, ani pan Piłka; krzyki i śpiewy szalone, jakby w domie warjatorów: pan Szumiło traktuje znajomych i nieznanomych, przyjacioł, i nieprzyjacioł... Ponez, wino, rum leją się potokiem. Zjająny, spocony i spity jak suseł Szumiło siedzi pośrodku, a krzyczy bez ustanku. »Pić! dawaj pić!...« Pić! powtarzają wszyscy krzykliwym echem...

— Więcej sklanek! woła; i coraz nowe sklanki to pełne, to próżne; bo pragnienia pijaków nienasycone.

— Więcej gości!... niech znają że ich hrabia traktuje! wrzeszczy Szumiło, a dzwoni złotem, którego pełno w kieszeni...

— Nie pij tyle Karolu! szepce kawiarka; będzie ci szkodzić!... szkoda pieniędzy.

— Nie potrzebuję rad!... idź głupia z radami!... Więcej ponezu! więcej gości!... Już ich kawiarnia więcej pomieścić nie może; z ulicy przychodniów zapraszają pijani, to też zebrało się towarzystwo i liczne i dobrane zaprawdę. Wszystkie fusy i brudy towarzyskie razem; z twarzami na których malują się naj-

obrzydlivsi namiętności; wyszczerza się fałsz z ust pijanych, bo fałsz ich prawdą; wykrzywia bezwstyd i zepsucie z oczów rozognionych trunkiem, a z postaci niezgrabnych, krzyków niesfornych, słów zachwałych objawia się gotowość do wszystkiego złego.

— Pijcie! hrabia was traktuje!... bo ja jestem hrabia.

— Ależ Szumiłku drogi! zagadł niski garbaty i zyzooki arfiarz uliczny; powiedz jakim sposobem zostałeś hrabią...

— Co tobie do tego, rzempicielu nieznośny...

— Wczoraj Szumiło!... dziś hrabia!... przerwał suchy i wysoki jak cybuch, kelner z pod sroczki w zielonym, brudnym, i łatanym kaftanie.

— Szumiłeczku serdeczny! krzyczy mu w ucho pękaty z małą główką, do moździerza z tłuczkiem podobny laborant z aptyki, z szarawym fartuszkciem w rękę... napijmy się naprzód... a potem odkryj nam gdzieś zażył te hrabstwo...

— I jakież to hrabia dopytał się do ciebie, dodał kulawy i połamany jak znak zapytania, stary wystużony nauczyciel tańców w długim ogoniastym fraku, który dziwnie przypominał manjaki na postrach wróblów stawiane.

— Ojciec! co tam ojciec! mniejsza o niego, ojcostwa nie chciał mi dać, i nie wiele tam o tym gadajcie wy pijanice, bo gotów się rozgniewać, i nie dać mi nic więcej... ale dał mi hrabstwo... ot jest moje hrabstwo!: i rzucił pełną garść dukatów na stół.

Żółtą zazdrością odbiło się złoto w roziskrzonych oczach przytomnych, mimowolnie wszystkie ręce wyczężyły się ku stolikowi, lecz szybkim ruchem Szumiły porwane złoto znikło nazad w jego kieszeni z czystym dźwiękiem który wszystkich gości połaskotał nielitościwie.

— Wara od mojego hrabstwa! macie poncz! pijcie i wiercie żem hrabia...

— Niech żyje hrabia! wiwat hrabia Szumiło! wrzasło całe towarzystwo dobranym chórem z samych fałszywych tonów.

— Karolu! szepcze dziewczyna na poły uradowana, na poły przestraszona: i śmiać i płakać mi się chce.

— Tak! tak! moja kawiareczko, jestem hrabia i basta... Chodź tłusta Cykorio, potańcuj z hrabią.

— Hejże! hola! muzyki! chór zawołał. Uliczna banda zagrała; tylko tego jeszcze brakowało aby towarzystwo nabrało więcej podobieństwa do potępieńców wyjących w szaleństwie.

— Walca! mazura! poloneza! krzyczą razem. Pijana muzyka zagrała wszystko razem; i nuż tańcować: Szumiło z Cykorją, cybuch z moździerzem, znak zapytania z zyzem; a wszyscy tańczą za taktem nóg pijanych raczej, niżeli za taktem muzyki; skaczą, wiją się, kręcą jak Derwisze w szale zapału.

— Karolu zlituj się, nie pij tak, jak mnie kochasz!...

— Ha! ha! zaśmiał się... jak gdyby hrabia mógł kochać; mój ojciec nie kochał mojej matki, a jest przecie hrabią... pijcie! pijcie!...

— Wiwat hrabia Szumiło!...

— Mój Karolu! czyż ty już mnie nie kochasz?...

— Tfu! splunął: hrabia kawiarkę!...

— Więc te twoje przysięgi!...

— Hrabia nie dotrzymuje przysięgi!... Wezcie odemnie te głupią dziewczynę!...

— Nie nudź hrabiego! krzyczą przyjaciele; wolisz pić z nami!... Kto nie pije ten nie żyje!... Brawo! Brawo! Stańmy tu w koło!... śmieją się, skaczą, śpiewają, a piją przedewszystkiem nienasyceci jak beczka Danaidów...

— Czy już nie pamiętasz?... ani wiernej i szczerej miłości mojej!...

— Ja kocham moje hrabstwo!... tn w kieszeni!... moje hrabstwo tu w szklance!... moje hrabstwo wszędzie tam gdzie dukatem dostanę... Wiwat moje hrabstwo!...

— Wiwat hrabstwo Szumiły!... Ponczu! ponczu więcej!...

— Karolu, tyś bogaty teraz!... ale ja biedna, bardzo biedna, bo moje serce dla ciebie...

— Precz z sercem! dawaj rum! to mi serce prawdziwe, bo serca dodaje... Nie piszcz mi nad głową; idź do swojego kupczyka, który ci daje po dwieście ryńskich!...

— Karolu! ciszej!... tyś pijany!...

— Ja trzeźwy! niechcę ciebie i basta!... idź do tego który pieniądze daje i!...

— Ależ ja tobie oddałam je wczoraj...

— Chcesz może, bym ci je oddał.

— Niechcę Karolu tych przeklętych pieniędzy...

— I ja też nie głupi oddawać!... Ja cię drożej kupiłem niż ten twój kupczyk; ja ci dałem miejsce, dobre miejsce; ty nie wiesz co może kawiarka; spytaj naszej Cykorii, i ona była kawiarką, nim wyszła na panią; i ona miała amantów, nim zeszała na Piłkę, któremu coś się jeszcze należy odemnie... byleś umiała korzystać!... jesteś młoda, piękna dosyć!... Otoż takie miejsce, to więcej jak te lichych dwieście ryńskich, z których ledwie kapotę sprawiłem sobie, aby się przecie zaprezentować hrabiemu ojcu, i hrabinie matce... czuła to była scena; w kościele bardzo uroczyście!... ale motus!... bo mi gotowi nie dać więcej pieniędzy, które mi gębę mi zapchali... a więc z tego wszystkiego uważasz dziewczynę; że cię po hrabsku zapłaciłem... prawda panowie koleczy!...

— Prawdę mówi, jak prawdziwy hrabia, czuje jak prawdziwy hrabia!... Wiwat hrabia Szumiło!... Pijmy krzyczą, aż pochrypli; hulajmy bracia, to nasz dzień! precz z jutrem!... Wiwat hrabia dzisiaj!... I śmiech powstał szalony.

— Hanusia polyka gwałtem lzy, które jej padają aż na serce. Karolu ty jesteś okropny!...

— Ja hrabia! ha! ha! ha! ha!...

— Ty jesteś niegodziwy!...

— Ja hrabia! ha! ha! ha! ha!...

— Ty zdrajca!...

— Ja hrabia ha! ha! ha! ha!... I krzyczą dalej, śmieją się i piją.. Szumiło płaci gotówką, sypie złotem, hałasuje, skacze jakby od tarantuli ukąszony, a pije bez końca, i drugim pić każe, grozi i przymusza.

Wtym przez tłum przesuwa się jakiś postugacz więzień, i donosi mu że jego ojciec na śmiertelnej leży pościeli. Zachnął się Szumiło, aż kilku pijanych przewrócił.

— Jaki ojciec! ja hrabia! jaki, to mniejsza, o to; niemacie się czego śmiać urwisze, kiedy wam leje

w gardło, i to gratis; powiedz temu drabowi niech sobie umiera, to mi wszystko jedno, na co fałszował testamenta... posłańcowi dajcie pić, niech wie że hrabia traktuje.

— Pić nie chcę... ale panie on kona, i zaklina was, byście przyszli po błogosławieństwo.

— Błogosławieństwa nie potrzebuję, mam dukaty, jutro jadę na wojaż; a kiedy pić nie chcesz idź że do diabła razem ze swoim kryminalistą.

— Wiwat hrabia Szumito! dzikim chorem zagrzmili pijani; i dalej nowe szklanki piją i tłuka, a Szumito płaci. Wśród tej piekielnej wrzawy słysząc od czasu do czasu żałośnie wzdychania biednej Kasi, której po raz pierwszy pojawiła się straszna rzeczywistość z całym najokropniejszym odczarowaniem; a te lodem mrozącym na zawsze wszystkie szlachetniejsze uczucia pada za równo na serce kawiarki, jak i na serce salonowej pani.

Pijana wrzawa trwała aż do rana. Państwo Cykorja i pan Piłka naśmieli się do woli z hrabiego Szumity, który na drugi dzień znikł z miasta jak kamfora.

Hrabia Alfred odjechał do Paryża zkąd niedawno był wrócił, bo mu w ojczyźnie nudno. Hrabina Malwina wyruszyła do Florencji, bo jej w ojczyźnie zimno. I więzień przemienił pomieszkanie swoje na lepsze i spokojniejsze... w czasie hulanki pana Szumity skonał.

## Wieś Kulczyce.

Dniem pogodnym w środku lata,  
Gdzie się Strywiaz z Dniestrem brata  
Południowy słońca skwar.  
A o podał ztamtęj strony  
Gdzie z północą wschód spokojny  
Dał się głośny słyszeć gwar.  
Gwar rozlega się po błoni,  
Słysząc tętę rżących koni,  
Daje odgłos bliski bór,  
Pod wozami kolej pęka,  
Czasem głucho miecz zaszczeka,  
Cała swita — cały dwór.  
Leci gońców poczet mnogi,  
„W imię Kniazia zstąpcie z drogi!“  
Rzekł i leci, leci zwyż;  
Rusin chyła się z pokorą,  
Ustępuje z drogi skoro,  
I potrójny zrobił krzyż.  
Wnet blask strzelił w emiających łukach,  
Wietrzyk wionął po buńczukach  
Lekkiem skrzydłem zwłędłych sił;  
Świecą tarcze, lśnią szyszaki,  
Synów boju świetne znaki,  
Jasność słońca szyk ich scmił.  
A najdumniej wśród orszaku,  
Siedzi xiąże na rumaku,  
Siedzi ruski xiąże sam;  
Za nim panów szereg długi,  
Kaźden spieszy na usługi  
Kaźden zwrócił oko tam.  
A na zachód, zkąd Dniestr bieży,  
Szczyt zamkowych widać wieży,  
A na szczycie czujny stróż;  
Tamto gońce wprzód pognali,  
Tam się cała swita wali,  
I co chwila bliżej już.  
Bojar gości wita w bramie,  
Zbrojna młodzież drzewce łamie,  
A z pałacu zabrzmiał śpiew:  
Miodz na popis z bronią staje,  
Dziewa pieśnią cześć oddaje,  
Bo tu wjeżdża xiąże Lew. \*)  
Otworzyły się podwoje,  
W zamku jadło i napoje,  
W zamku jadła miodu dość:

Xiąże scisnął dłoń dziedzica  
Głasnął piękne dziewic lica,  
I za stołem stanął gość.  
Koło niego tuż przy boku,  
Wierny sługa trzyma kroku,  
Lecz na kulach kroku spark.  
Stynał męstwem, stynał bojem,  
Bronił Kniazia życiem swoim,  
Nie jednego wroga stawk.  
Lecz wojownik z bojów tyle,  
Stać nie może o swej sile,  
Pod nim szcudło miasto nóg.  
Xiąże wskazał — swietna cisza,  
Wskazał broni towarzysza,  
Xiąże pomny takich sług:  
„Weź latawców mego chowu,  
Spiesz i wracaj z nimi znowu,  
Nim ostatni spełnie dżban;  
Co okrążyysz z tej dziedziny,  
Będzie twem i twej rodziny.“  
Rzekł i usiadł Rusi pan.  
Okrzyk życzeń z kaźdej strony,  
Stoi sługa oniemiony,  
Ale w oku wdzięczna łza;  
Błogosławi modłem pana,  
Sciska jeszcze raz kolana,  
Idzie, a z nim ciury dwa.  
Na dziedzińcu już gotowa,  
Już kolasa stoi nowa,  
Tylko popchnij, tylko rusz,  
A w zaprzęgu dwa rumaki,  
Jak Podgórze lotne ptaki,  
Baczone słuchem czujnych usz.  
Wojownika ciury zwiedli,  
Na kolasę z nim usiedli,  
I ruszają razem w świat.  
Oko starca ogniem płonie,  
Sam jął powodz w silne łtonie,  
Niby w kwiecie młodych lat.  
Jak błyskotka nawalnacza,  
Zniknął zaprząg gdzieś z oblicza,  
W jednym mgnienu, w jednym tchu.  
Aż się stary zamek zdumiał,  
Aż ze wstydu wiatr zaszumił,  
Bo wyprzedzić nie mógł tu.  
A w przestrzeniach długiej błoni,  
Buja szybki lot pogoni,  
Buja ptakiem, buja w przód.  
Już się ciurze w czubie mroczy,  
Jnż latawiec pianę toczy,  
Lecz wytrwałość zmaga trud.  
W dłuż na wschodniej gonią drodze,  
Wzrok i niwy są ich wodze,  
Niwy biegiem kilku mil;  
Aż rzekł starzec: Tutaj chłopcy  
Będzie miejsce pierwszych kopcy  
I spoczynku czterech chwil.  
Ciury grzebią bez odwołki,  
A wnet łokcia dwa wysoki,  
Czarne czoło kopiec wzniosł.  
Tam po dębach dym się spina,  
Botam leży wieś Babina, \*)  
Pod nią pierwszy kopiec wzrósł.  
Znow woźnica biczem trzaska,  
Nową kolej rżnie kolaska,  
Ku południu mierząc bieg.  
Tam las czarny mgli zdaleka,  
Tu nowego pana czeka  
Ruskiej rzeki dumny brzeg.  
A latawcy wichrem spieszą,  
W krzemień Dniestru ognia krzeszą  
Wnet ich ukrył ciemny las;

\*) Xiąże Lew panował w drugiej połowie trzynastego wieku; założyciel miasta Lwowa r. 1270.

\*) Babina, Kornalowice, Dublany, Ozimina, Szady, i Sielec wsie do koła Kulczyce.

Tutaj powoz stucznie zwija,  
 Kruszy chaszczę, pień omija,  
 Wszystko w mierze, wszystko w czas.  
 Już dniestrzański nurt przepłynął,  
 Kornalowski dwór ominął,  
 I nie jedną debrę zwiął.  
 Dalej rzędzie i gęstwina  
 Za nią ścieli się dolina,  
 Tu powtórnie zaprząg stał.  
 I tu ciury, wierne sługi  
 W lot ubili kopiec drugi  
 Co miał nowych granic strzedz.  
 Świadkiem tego są włosciany,  
 Co dziedziczą wieś Dublany  
 Pod nią drugie godło miedz.  
 Dzielną starzec tuż na nowo.  
 Dmuchał drogą południową,  
 Biorąc w zachód krągły tok;  
 Przed nim wzgórze, cierń i głogi,  
 Młaczne doły, i odłogi,  
 Dokąd tylko sięgnie wzrok.  
 Ale rumak trzęsie grzywą,  
 Spina górę uperczywą  
 Pod kopytem głóg się gnije;  
 W dół moczary z lekka sliżnął,  
 Trzęsawicy strugą bryznął,  
 Lecz pokładu ledwie tknie.  
 Z dała szumią i dąbrowy,  
 Dzwoni dziarski koń w podkowy,  
 Jakby z słońcem w wyścig gnał;  
 Oziminy lewą tyknął,  
 Koło Szadych się przesmyknął,  
 Aż pan znane hasło dał.  
 Duchem praca się ponawia,  
 Trzeci kopiec ciura stawia,  
 W nieprzebrnięty dotąd szlak;  
 Z nim się schodzi włosć Sielecka,  
 Bo tam Sielec, wieś szlachecka  
 Pod nią trzeci granic znak.  
 Słońce błyszczący się w strumieniu,  
 Kończąc bieg swój na sklepieniu,  
 A tu w drodze szary mrok.  
 Tu olbrzymie gęstwina, knieje,  
 Cień ich wcześniej północ sieje,  
 W północ pogoń zwoździ krok.  
 I o stare znówu lasy,  
 Wadzi lewy bok kolasy,  
 Trze półkoszek, skrzypli oś:  
 Lecz kolasą swego dłuta,  
 Żelaziwem krzepko kuta,  
 I wytrzymać zdoła cios.  
 Dalej pędzą konie wrone  
 Szczurząc uszy najeżone,  
 Dalej w cieniu, pośród mgły,  
 Światłem świecą w chmurnem kole,  
 Białe gwiazdki na ich czole  
 I ognistych oczu skry.  
 Po raz drugi Dniestr ich wita,  
 Szumi pianą zpod kopyta,  
 Dzisiaj drugi w łożu swem;  
 Aż na koniec chlubne dzieło,  
 Czwartym kopcem koniec wzięło,  
 Wiążąc krąg zajętych ziem.  
 Kopiec bity już z zachodem,  
 Pod samborskim teraz grodem,  
 Wtedy dzik tam gniazdo miał.  
 Doczekały wieki zgonu,  
 Nim Mysliwa przyszała z tronu, \*)  
 Step oczyścić kolcem strzał.

\*) Bona, matka ostatniego Jagellonczyka, przebywała niejakie czasy na Rusi, gdzie polowaniem się bawiąc właśnie

Ani śnił dziś jeleni żwawy,  
 Ze Sambora zakład krwawy  
 Miał opłacić jego wnuk.  
 Ani drzewo było wzrosło,  
 Co na wicę ziarno niosło  
 Z której powstał straszny łuk  
 Zaprząg ruszył jeszcze chwile,  
 W zamku ogniów, światel tyle,  
 Jak na niebie jasných gwiazd;  
 Podniecony tym widokiem  
 Jeszcze skorszym kopnął krokiem.  
 Wnet zwyciężki odbył wjazd.  
 W zamku toczy się biesiada,  
 W tem gość nowy nagle wpada,  
 A dzban miodu w rękę Lwa,  
 Krążą kaski i puhary,  
 Napełnione stoją czary,  
 Długa uczta jeszcze trwa.  
 Podchmielona i ciekawa  
 Obstępuje gościa wrzawa  
 Lecz on kniazium niesie cześć;  
 Potem jemu i przytomnym  
 Opowiada głosem skromnym  
 Swęj hulanki krótką treść.  
 Książ z uśmiechem słuchał mowy,  
 Starcu zapis dał gotowy,  
 A na żupan lity pas;  
 Tem go mieni panem ziemi,  
 Którą zajął kopcy swemi,  
 I rycerzem w wieczny czas.  
 A ten zapis w zwój się kręci,  
 Pod nim złote trzy pieczęci 1)  
 Jeszcze dotąd istnia gdzieś;  
 Starcu od kul imię dano,  
 I Kulczyckim odtąd zwano  
 A Kulczyce jego wieś.  
 A ciekawa huczy wrzawa,  
 Starca pyta, w koło chwytą.  
 Gdzie z jednego w drugie krąż.  
 Choć szum w głowie, pije zdrowie,  
 Me głośnic i radośnie  
 Kulczyckiego zdrowie wciąż.  
 Złąd wsi Kulczyce źródło płynie  
 Ludnej w cztery dziś świątynie  
 Matki kilku innych siół;  
 Radłowice i Kalinów 2)  
 Chociaż w prawdzie nie z jej synów  
 Lecz w jej łonie byt swój wziął.

\* \* \*

O! jak lubo — na twej niwie  
 W własnej chatce, tam szczęśliwie,  
 Tam swobodnych użyć dni,  
 Lub po smutkach i przygodach,  
 W twoich ujrzyć się zagrodach,  
 Witaj mi rodzinna wsi!

M. P.

na tem miejscu, na którym teraz ratusz samborski stoi jelenia strzałą ugodzić miała, znamie to dotąd wierchołek wieży dźwiga; złąd albowiem zakład Sambora.

1) Istotnie jest w Kulczycach zapis ten w ruskiej mowie, gdzie wyczytać można, iż obdarowany „Turkowiec” przedtem się nazywał — zapewne na Tatarach, Turkach takie nazwę uzyskał.

2) Radłowice, Kruzyki, Kalinów, gdzie posada Niemców przybyłych, leżą w okręgu Kopców, czyli granic Kulczyckich.